

# Stany odmiennie

Wyrok Sądu Najwyższego w sprawie aborcji już zadziałał jak katalizator wszystkich sporów, które od lat rozrywają Amerykę.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU



„To nie jest opieka zdrowotna” – protest przed sądem federalnym w Los Angeles po ogłoszeniu wyroku Sądu Najwyższego.

**W**yrok Sądu Najwyższego USA z 24 czerwca, odbierający kobietom federalne prawo do przerywania ciąży, przywitały wielotysięczne demonstracje. Uchylenie precedensu Roe v. Wade z 1973 r. przywraca stan sprzed półwiecza, kiedy dostępność aborcji regulowały poszczególne stany. Około połowy uchwaliło już lub wkrótce uchwali restrykcyjne ustawy zakazujące aborcji, jak w Oklahomie – od 6. tygodnia ciąży lub ograniczające dopuszczalność zabiegu do jej pierwszego trymestru, z wyjątkami na kazirodztwo, gwałt, zagrożenie życia kobiety, albo bez żadnych wyjątków. W jednych stanach kara będzie groziła kobietom, w innych – lekarzom.

Ponad 20 stanów zapowiedziało jednak, że zachowa liberalne prawa zgodnie z Roe v. Wade, tzn. zezwolenie na aborcję do 24. tygodnia ciąży. Niektóre przymierzają się nawet do wzmocnienia tego prawa, włączając je np. do stanowej konstytucji. Kobiety z Alabamy czy Teksasu będą więc mogły pojechać na zabieg do Kalifornii lub Nowego Jorku, gdzie władze planują rozbudowę klinik planowania rodziny – na granicach stanów nie ma kontroli. Triumfujący działacze pro-life twierdzą jednak, że oddanie decyzji w sprawie aborcji w ręce stanów to wyraz prawdziwego ludowładztwa.

Skąd więc masowość protestów po wyroku Sądu Najwyższego? Międzystanowa turystyka aborcyjna w USA może się okazać droższa i bardziej ryzykowna niż międzynarodowa w Unii Europejskiej. Odległości są ogromne, koszty benzyny rosną, a legislatorzy w pasie biblijnym przewidzieli także kary dla osób, które pomagają ciężarnym, przewożąc je np. swoim samochodem do ginekologa. Wysokie koszty zabiegu w innym stanie uderzają w biedniejsze kobiety, których nie stać na podróż, przeważnie z mniejszości rasowych.

Skutkiem decyzji Sądu Najwyższego będzie też zakrojona na lata batalia w sądach, gdyż przeciwnicy aborcji planują ścigać lekarzy i ich pacjentki także w stanach liberalnych, gdzie z kolei uchwała się już ustawy zakazujące współpracy w takich śledztwach. Ruch pro-life bierze teraz na cel pigułkę aborcyjną – najczęstszy dziś w USA sposób przerywania ciąży – która nie wszędzie jest legalna, ale może być wysyłana pocztą. I przygotowuje się do długiego marszu, którego zwieńczeniem ma być federalny zakaz przerywania ciąży uchwalony przez Kongres.

**Konflikt o aborcję zawsze wywoływał emocje, ale furię protestów po uchyleniu Roe v. Wade tłumaczą przede wszystkim okoliczności tej decyzji.** Sąd Najwyższy podjął ją głosami swej konserwatywnej większości (6 do 3), ukształtowanej półtora roku temu pod koniec kadencji Donalda Trumpa, który nominował aż troje nowych sędziów pod dyktando ultrakonserwatywnych organizacji w Partii Republikańskiej.

Pierwszy z nich, Neil Gorsuch, zajął wakat po Antoninie Scali, który zmarł za kadencji Baracka Obamy. Ten prezydent wybrał na następcę Merricka Garlanda, ale Republikanie nie dopuścili do jego zatwierdzenia w Senacie pod pretekstem, że za rok odbędą się wybory i kandydata musi wysunąć nowy prezydent. W cztery lata później, za rządów Trumpa, nie przeszkodziło im to w zatwierdzeniu jego ostatniej nominatki – ultrakonserwatywnej Amy Barrett – na miesiąc przed wyborami prezydenckimi.

W efekcie w Sądzie Najwyższym zasiadają dziś tylko trzy sędziowie mianowane przez prezydentów demokratycznych i sześciu sędziów mianowanych przez Republikanów, z czego pięć to nominacji George’a W. Busha (John Roberts i Samuel

Alito) i Donalda Trumpa (Neil Gorsuch, Neil Kavanaugh i Amy Barrett) – prezydentów, którzy w wyborach uzyskali mniej głosów bezpośrednich niż ich oponenti i zdobyli urząd dzięki większości głosów elektorskich.

Niespotykana od dawna przewaga konserwatystów wyraża się w orzeczeniach SN, niemal zawsze zgodnych z życzeniami prawicy, zwłaszcza religijnej. Oprócz uchylenia konstytucyjnego prawa do aborcji zdążył on już rozszerzyć prawo do noszenia broni w miejscach publicznych i do modlitwy na imprezach sportowych. Liberalna Ameryka obawia się, że teraz przyjdzie kolej na odwołanie praw osób LGBT i legalności antykoncepcji, do czego wezwał sędzia Clarence Thomas.

Unieważnienie precedensu Roe v. Wade jest tym bardziej kontrowersyjne, że za jego utrzymaniem opowiada się ponad 60 proc. Amerykanów. Przeważa pogląd, że przerywanie ciąży to zło konieczne, tylko mniejszość popiera aborcję na życzenie, ale taki mniej więcej rozkład opinii trwa niezmiennie od lat. Sondaże nie wykazują trendów za restrykcjami także w innych kwestiach, jak prawa gejów; przeciwnie, również w młodym pokoleniu notuje się spadek religijności, rośnie liberalizm obyczajowy oraz akceptacja wielokulturowości amerykańskiego społeczeństwa.

– *Tyrania większości jest złem, ale dziś mamy do czynienia z tyranią mniejszości* – mówi Lincoln Mitchell, politolog z Columbia University. Sąd Najwyższy pograżył się w oczach Amerykanów, zaufanie do niego spadło w sondażach do rekordowo niskiego poziomu, gdyż postrzega się go coraz bardziej jako narzędzie w rękach polityków.

**Decyzją w sprawie aborcji SN podsyćł konflikt polityczny, którego eskalacja grozi załamaniem się amerykańskiej demokracji,** ostrzegają komentatorzy. Spór między partiami Demokratyczną i Republikańską przebiega już nie według dawnych reguł, kiedy racjonalna debata prowadziła do kompromisowych rozwiązań. To raczej święta wojna, w której nie ma miejsca na ustępstwa. Zwłaszcza na prawicy warunki coraz częściej dyktują ekstremiści, centrum przestaje się liczyć.

A społeczeństwo nie jest aż tak spolaryzowane, badania wskazują na konsens w wielu sprawach, co trzeci Amerykanin określa się jako niezależny. Ale partyjny dualizm i mechanizmy selekcji kandydatów – głównie prawyborcy, w których głosują skrajni wyborcy – sprawiają, że także na dole podział się pogłębia.

Oczywiście nie jest on do końca sztuczny. Wyborcy obu partii to coraz wyraźniej dwa odrębne światy. Demokraci dominują w stanach „niebieskich”, głównie na obu wybrzeżach i w rejonie Wielkich Jezior, Republikanie – w stanach „czerwonych” na południu i Środkowym Zachodzie. Pierwsi to mieszkańcy dużych miast i podmiejskich suburbi, wykształceni i zamożniejsi, o liberalnych poglądach. Drudzy to głównie ludność wiejsko-małomiasteczkowego interioru, biedniejsza, gorzej wyedukowana, przywiązana do tradycyjnych wartości i swoich ciał.

Wyborcy Demokratów, otwarci na świat, inkluzywni i mniej religijni, gardzą swymi rodakami z rustykalnej prowincji, zwłaszcza odkąd pokochali oni Trumpa. Wyborcy republikańscy uważają Demokratów za przedstawicieli aroganckich, kosmopolitycznych elit, a niektórzy podejrzewają ich nawet o zamiar oddania Ameryki pod władzę „rządu światowego”. Siebie samych postrzegają jako prawdziwych patriotów.

Obie zbiorowości mają siebie coraz bardziej dość. – *Byłem niedawno w Montanie i stwierdziłem, że z tymi ludźmi nie mam już nic wspólnego* – mówi nowojorczyk Lincoln Mitchell. W stanach najbardziej zdominowanych przez jedną partię pojawiają się ciągoty separatystyczne. W Kalifornii półzartem mówi się ►

► o Cal-exicie, „ewentualność secesji” rozważają Republikanie w Teksasie. To oczywiście utopijne pomysły, bo żaden stan nie ma prawa opuścić amerykańskiej unii. Ale po drugiej stronie wywołuje to komentarze w stylu: OK, szczęśliwej drogi, nie będziemy po was płakać.

### **Jak doszło do tej polaryzacji? Jej źródła sięgają lat 60., z ich kontrkulturowym buntem, rewolucją seksualną, feminizmem i równouprawnieniem Afroamerykanów.**

Wywalczeniu praw mniejszości towarzyszyło otwarcie granic dla imigracji spoza Europy, co zmieniło oblicze kraju, doktrynę tygla jako modelu asymilacji zastępując przez multi-kulti, i zachwiało dominacją białej, chrześcijańskiej większości.

Jej elity, nie mogąc się pogodzić z demograficzno-kulturową ewolucją Ameryki, przystąpiły do kontrofensywy. W latach 70. i 80. religijni fundamentaliści, zrzeszeni w Moralnej Większości pod wodzą pastora Jerry'ego Falwella i Koalicji Chrześcijańskiej wielbego Pata Robertsona, zaatakowali ruchy na rzecz praw kobiet, gejów i aborcji oraz zasadę rozdziału Kościoła od państwa.

Wojna kulturowa toczyła się wtedy jeszcze równoległe do konfliktu politycznego, głównie wewnątrz białej większości. Religijni konserwatyści byli częścią republikańskiej koalicji, ale kierownictwo Partii Republikańskiej uważało ich za kłopotliwego sojusznika, się dzieląc partię, ponieważ znaczny segment jej wyborców, zamożny i wykształcony, wyznawał credo libertariańskie – wara państwu od mojej prywatności.

Trzon międzypartyjnej debaty stanowiły spory o gospodarkę i politykę społeczno-ekonomiczną; Republikanie forsowali mantrę małego rządu, niskich podatków i wolnego handlu, Demokraci – rozbudowę państwa opiekuńczego i redystrybucję dochodów. Było to naturalne, bo pierwsi reprezentowali wielki biznes, warstwy zamożniejsze, drudzy – świat pracy. Kiedy na republikańskiej konwencji w 1992 r. Pat Buchanan próbował z wojny kultur uczynić wiodący motyw partyjnej kampanii, został szybko uciszony.

Sytuacja zaczęła się zmieniać, w miarę jak Ameryka stawała się krajem mozaikowym, różnorodnym etnicznie, rasowo i religijnie. I kiedy politycy obu partii nie mogli już sobie poradzić z ewolucją gospodarki, zglobalizowanej i eliminującej tradycyjny przemysł. Okazało się, że programy obu stronnictw de facto zbliżają się do siebie, tzn. Demokraci pogodzili się z kanonami szkoły chicagowskiej, redukcją rządowej interwencji w gospodarkę, a Republikanie dryfowali w stronę ekonomicznego populizmu, rezygnując z czasem z dyscypliny fiskalnej i popierając – za prezydentury Busha juniora i Trumpa – kosztowne programy socjalne.

Partia republikańska znalazła nowych wyborców – poranionych przez globalizację robotników, warstwy biedniejsze, w tym białych mężczyzn, sfrustrowanych faworyzowaniem przez waszyngtońskie elity mniejszości rasowych. Ponieważ jest to elektorat konserwatywny, Republikanie przesunęli akcent z gospodarki na świat wartości moralnych i religijnych – w ich programach i retoryce wojna kultur zaczęła wypierać klasowy konflikt interesów.

Proces ten narastał stopniowo, ale nabrał przyspieszenia za prezydentury Trumpa. Do programu Partii Republikańskiej dołączył on dodatkowy, kluczowy element – nacjonalizm i natywiizm w dawnym stylu, odwołujący się do plemiennej tożsamości i lęku kurczącej się białej większości przed utratą kontroli nad krajem.

Frazeologia murów, rehabilitacji dawnej, dobrej Ameryki, zagrożonej przez przybyszów z Trzeciego Świata, protegowanych Sorosa i spółki, ma wzmacniać wiarę, że tylko oni, ciężko pracujący patrioci, których trud marnuje rząd, wydając fundusze na nielegalnych imigrantów, reprezentują prawdziwe

amerykańskie wartości. Nurt ten, do niedawna mniejszościowy wśród Republikanów, za sprawą Trumpa i jego uczniów zaczyna w partii dominować.

Fundamentem amerykańskiego systemu było dotąd poszanowanie prawa i równoważących się nawzajem (check-and-balance) demokratycznych instytucji, by nie naruszać praw przegranej mniejszości. W ferworze wojny kulturowo-ideologicznej fundament ten się chwieje. Politycy w Kongresie z przeciwnych partii przestają udawać, że się lubią, w sieciach społecznościowych roi się od wyzwisk.

Od agresji werbalnej krok tylko do fizycznej, a kiedy wódz do niej zachęca, dochodzi do takich wydarzeń, jak atak na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. Autorytarnym przymiarkom prawicy towarzyszyły pomruki o rzekomym ekstremistycznym zagrożeniu z lewicowej strony. Ale radykalne nurty w Partii Demokratycznej nasiliły się głównie wskutek politycznego rozbudzenia Afroamerykanów i naturalnej reakcji na rasistowskie podteksty trumpizmu, który celowo prowokuje przeciwników, by uzasadnić naruszanie reguł liberalnej demokracji.

– *Nie ma żadnego symetryzmu, kierownictwo Demokratów i ich ostatni prezydenci: Obama i Biden nie są ekstremistami. Kraj podzielił się tak ostro, gdyż Republikanie odplynęli na prawo i podsycają wojnę kulturową, bo służy to ich politycznym celom* – mówi Allan Lichtman, historyk z American University.

**Najnowsze amerykańskie starcie wokół aborcji i cała konfrontacja moralno-obyczajowa to zjawiska powszechne już dziś na Zachodzie.** Nigdzie jednak, może poza Polską, religijna prawica nie zdobyła takiej władzy jak w USA, gdzie ma oparcie w Partii Republikańskiej i wśród społecznych konserwatystów. Ich skumulowana siła, owocująca składem Sądu Najwyższego, wynika ze specyfiki amerykańskiego systemu, który faworyzuje dziś prawicę.

– *To już problem konstytucyjny. Nasza konstytucja została napisana w latach 80. XVIII w. i jej fragmenty po prostu nie pasują do XXI w. Ultrakonserwatywny Sąd Najwyższy jest produktem Kolegium Elektorskiego, które pozwala głównie Republikanom zdobywać Biały Dom, i Senatu oddającego nieproporcjonalnie dużą władzę małym ludnościowo republikańskim stanom* – mówi Larry Sabato, politolog z University of Virginia. Na reformę anachronicznych instytucji i reguł trudno liczyć, gdyż urzędujący w Kongresie politycy wolą zachować status quo.

Republikańska prawica igrza z ogniem, podwyższając temperaturę amerykańskiego konfliktu. Zamach na aborcję może jednak nieoczekiwanie zmienić nieco układ sił na jej niekorzyść. Przed uchYLENIEM Roe v. Wade powszechnie przewidywano, że wynikiem listopadowych wyborów do Kongresu będzie druzgocące zwycięstwo Republikanów i przejęcie przez nich większości w obu izbach. Według sondaży po decyzji SN wzrosły notowania Demokratów. A Biden i jego partia mają nadzieję, że radykalizm sędziów, nazwanych przez Barbrę Streisand amerykańskimi talibami, zmobilizuje kobiety z suburbiów – ważny segment demokratycznego elektoratu – do głosowania i przesądzi o ich zwycięstwie.

Najnowsze sygnały potwierdzają ten optymizm, choć na zachowanie kontroli nad Izbą Reprezentantów trudno liczyć, gdyż nastroje są fatalne – ponad 80 proc. Amerykanów uważa, że kraj zmierza w złym kierunku, co sprzyja opozycji, a inflacja, przestępczość i kryzys z imigrantami na granicy pogłębiają niezadowolenie z rządzącymi.

Można najwyżej przewidywać, że ekstremizm sędziów zrazi wyborców do kandydatów popieranym przez Trumpa, co republikańskiemu establishmentowi ułatwi zablokowanie mu powrotu do Białego Domu. Byłby to niemały sukces, choć niekoniecznie klęska trumpizmu.

TOMASZ ZALEWSKI